

PAŃSTWOWY TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO  
KIELCE — RADOM

MAŁA SCENA

ANTONI CWOJDZIŃSKI

# H I P N O Z A

Komedia w 3 aktach

## OSOBY:

RENA, aktorka  
JAN, lekarz

— IRENA MALARCZYK  
— JERZY WASIUCZYŃSKI

Scenografia:  
KAROL JABŁOŃSKI

Reżyseria:  
RYSZARD SMOŻEWSKI

Opracowanie muzyczne:  
MIROSLAW NIZIURSKI

Kierownik artystyczny:  
ZDZISŁAW GRYWAŁD

Premiera w Kielcach dnia 17 kwietnia 1971 roku

## O d a u t o r a

Żądanie od teatru, żeby był współczesny, powtarza się od wieków. Tego właśnie chciał Szekspir, kiedy kazał mu być „zwierciadłem i piętnem czasu”. I nie nowe też jest narzekanie teatrów na brak sztuk, które są obrazem współczesności.

— Piętnem naszych czasów jest nauka, stała się dziś religią, więc czemu teatr nie wpuszcza jej na scenę, jak w średniowieczu wpuszczał misteria? — pytałem w latach dwudziestych z kawiarnianym ogniem, podsycanym studiami matematyki i fizyki na uniwersytetach we Lwowie, w Krakowie i w Warszawie.

— Teatr skończy na uwiad starczy, jeżeli nie rozwali chińskiego muru między nauką i sztuką! — przepowiadałem. Ale że najlepszym taranem byłaby teoria Einsteina, nawet w największym ferworze dyskusji bałem się powiedzieć. Jest dla laika, trudna, nudna i oderwana od życia, więc gdyby zdobyła widownię, teorie załazyby teatr — marzyłem, ale milczałem. Nazwano by mnie wariatem.

Osterwa dolał oliwy do mojego ognia. Obiecał, że wystawi taką sztukę, jeżeli ją napiszę, i wysunął tylko jeden, ale za to trudny warunek: nim zacznę pisać, poznam scenę. Najpierw w jego eksperymentalnej Reducie, a potem także w teatrach zawodowych. Muszę na własnej skórze poznać pracę aktora i reżysera, mówił, bo nigdy nie zbuduję dobrej akcji z żywym dialogiem i spartaczę „teorię teorii w tearze”, jak z humorem nazwał mój pomysł.

Zanim oddałem mu teorię Einsteina, upłynęło długich dwanaście lat — Reduty, wędrówki po różnych teatrach i wreszcie Państwowego Instytutu Sztuki Teatru. Kląłem nieraz, ale scenę poznałem — i zostałem na zawsze dłużnikiem Osterwy.

Osterwa rozpoczął próby natychmiast i w ciągu dziewięciu miesięcy wypieścił „Teorię Einsteina” tak, że szła bez przerwy 525 razy, od roku 1934 do 1936, a Związek Autorów Dramatycznych uznał ją za „najlepszą sztukę roku” i przyznał mi nagrodę Reynala.

Przyjmowałem gratulacje udając dumę, ale dumny nie byłem. Po dwunastu latach w teatrze wiedziałem, ile w każdym sukcesie dramaturga jest zasługi reżysera i aktorów, innymi słowy, ile zawdzięczam genialnej reżyserii Osterwy i jego redu-

towym metodom pracy. Wobec tego — żeby sprawdzić siebie — następną „teorię”, osnutą na psychoanalizie Freuda „Teorię Snów”, oddałem Szyfmanowi. Wystawił ją w r. 1937 w świetnej reżyserii Wiercińskiego, ze świetnymi aktorami, Maszyńskim i Romanówną, w świetnym, ale już w zawodowym, nie eksperymentalnym, Teatrze Małym. Powodzenie znowu przekroczyło oczekiwania, a podobnie było później, gdy w tym samym teatrze grano w roku 1938 „Temperamenty” osnute na hipotezach psychologii konstytucjonalnej.

Więc miałem rację! Ale tylko rację, a zasługę w powodzeniu tych sztuk musiałem po cichu przyznać Einsteinowi i Freudowi, aktorom i reżyserom, i uczciwej pracy obu teatrów.

Rzecz jasna, że oprócz słów entuzjastycznych, jak: „udany eksperyment” — „komedia naukowa jako nowy gatunek literacki” itd., itd., były też głosy krytyczne. Domagano się konfliktów psychologicznych, czyli, według modnej dziś terminologii, konfrontacji postaw ludzkich, nie chciano widzieć w nauce bohatera godnego sceny, podsuwano mi nawet formę popularyzujących nauk felietonów.

Ale nauka to dzieło ludzkie, tak jak sztuka czy religia, więc „bohaterem godnym sceny” jest tu mimo wszystko człowiek, a z tego, że tematem mych sztuk są ciekawsze od fantazji autentyczne wyniki nauki, nie wynika, że idzie mi o jej popularyzację. W ciągu dwu godzin śmiechu nie można by spopularyzować nawet tabliczki mnożenia. Dlatego jeżeli powtarzam za recenzentami termin: komedia naukowa, ujmuję go zawsze w domyślny cudzysłów. Chodziło mi o „piętno czasu”, o tworzące naszą kulturę umysłowe szczyty. A forma komediowa narzuciła mi się sama, bo teoria na tle tzw. chłopskiego rozumu to nie ruszone jeszcze źródło humoru, i to niegłupiego, bo obejmującego i teorię, i — wbrew pozorom — człowieka, ludzką naturę.

Zachęcony sukcesem komedii naukowych, dalej szukałem w nauce żeru, żeby przyrzadzić z niego nowe danie dla głodnego współczesności widza, rozpęd mój jednak przerwała wojna. Wytrzymałem w Warszawie pół roku, ale kiedy Niemcy zainteresowali się „autorem, który pisuje żydowskie sztuki” (Einstein, Freud), poszedłem przez zieloną granicę i znalazłem się we Francji, potem w Anglii i wreszcie w Ameryce, żeby tworzyć „Teatr Artystów z Polski”. Przez dwa lata pisałem dla niego komedię, ale propagandowe, nie naukowe, a gdy przestać istnieć

— już tylko „Dziennik” w tzw. polskiej godzinie radiowej, i wreszcie — „Wiadomości” w gazetach polonijnych. Po dwudziestu dwu latach wróciłem do Anglii.

W Ameryce jednak nie zmalał mój entuzjazm do nauki. Z jej pnia wyrastały lub rozwijały się gałęzie, o których nie śniło się w czasach mojej pierwszej do niej miłości: genetyka, cybernetyka, parapsychologia czy choćby psychosomatyka. Więc w chwilach wolnych studiowałem i znów pisałem swe komedie naukowe, choć bez „rynku zbytu”, już tylko dla siebie.

W Ameryce miałem też możliwość przyjrzenia się pracy naukowej w służbie wojny. Upodobniała się ona coraz bardziej do roboty fabrycznej. Fachowcy rozwiązywali zleczone im zadania, prawie jak robotnicy przykręcający śrubki w aucie na maszynowej taśmie, a często nie znali całości problemu, nad którym pracowali. Wyniki dało to świetne — w ciągu jednego błysku bomby atomowej zginęło prawie 100 000 ludzi. Nie tego spodziewano się po nauce.

Pewnie dlatego uległem wtedy nowej fascynacji, zacząłem zapuszczać się w dziedziny, w których nauka nie bardzo sobie radzi. Telepatia, jasnowidzenie czy zjawy to cały „świat tajemnic” (w cudzysłowie, bo to tytuł jednej z mych sztuk), w których logika dostaje po nosie od alogiczności i choć istnieją już katedry parapsychologii, racjonalistyczne metody badań zawodzą. Zresztą przy całym zac zadaniu scjentyzmem, zawsze, nawet na początku drogi, z sympatią odnajdywałem irracjonalizm w... ludzkim postępowaniu. Częściej u kobiet niż u mężczyzn, bo mężczyzna odszedł od natury, aż do granic grożących nam kryzysem cywilizacji, kobieta zaś, zapewne dzięki samej biologii kieruje się raczej płynącą z instynktu intuicją.

A czy w świecie tajemnic mechanizm „pozamysłowego odbierania wrażeń” jest do uchwycenia? Czy „niefizyczna rzeczywistość w przyrodzie” da się w ogóle zrozumieć? Niech się nad tym męczą bohaterowie komedii naukowych, niech docierają do prawdy o świecie, bo choć do niej nie dotrą, wciągną na teren tych zagadnień współczesnego widza. Nauka jest nadal piętnem naszych czasów, a wyłonił się jeszcze ciekawszy problem granicy do jakiej możemy nią dotrzeć.

**Antoni Cwojdzinski**

(„Komedie naukowe” — Wstęp — PIW — 1963).